

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

10)

Weszli do sali teatralnej, rzęsiście oświetlonej i owionęta ich ta parna, podniecająca atmosfera tłumu żadnego zabawy. W powietrzu unosiły się delikatne perfumy, oczy spoczęły na wystrojonych ludziach, którzy zostawili w domu swe troski, kłopoty i obawy codziennego życia. W sali panował gwar półgłosem prowadzonych rozmów, szelest sukien damskich; oderwane, głośniejsze słowa:

— Proszę!... Przepraszam!

Wszyscy starali się być grzeczni, uступliwi, przyjemni, a na twarzach mieli uśmiechy banalnego zadowolenia ze siebie, ze sąsiadów, z całej sali.

Przesunęli się oboje ciasnym przejściem do swych krzeseł. Przypatrzywszy się sali i kurtynie, Roman spojrzał na łożę. I parterowe i pierwszego piętra robiły na pierwszy rzut oka wrażenie wystawy pięknych sukien damskich. Na ciemnym tle obic łoży jasne suknie nabierały indywidualności swych właściwiek, które miały ze sobą ten rys wspólny, że każda twarz, czy to młodsza, czy starsza, była słodka, pogodna, wyczekująca chwili, ażeby móżd od dać ułkon, z miłym uśmiechem i słodkim spojrzeniem.

Przed rozpoczęciem widowiska to jakby chwila wzajemnego prezentowania się, poznania i przypominania sobie wrażeń poprzedniej soboty, gdyż wszyscy tu się znają, z wyjątkiem nielicznych przejezdnych. Panie bacznie i badawczo lustrują wzajemnie swoje suknie, nie przepominają o żadnym szczególe, i można dostrzec spojrzenia ironiczne, gniewne, zazdrosne lub lekceważące.

Zadzwoniono i zaczęło się przedstawienie sztuki: „Mąż idealny“ Oskara Wilde'a, jednego z najoryginalniejszych i najwykwintniejszych komedypisarzy dzisiejszych. Dyalog jego skrzy się jak najcudniejszy brylant tysiącem ogni ironii, sarkazmu, dowcipu i uczucia, ale ażeby wykazać genialność autora trzeba artystów, nie aktorów, trzeba zespołu gry od roli kamerdynera do roli bohatera, a nie dorywczego skompletowania ról.

Premiera, grana przez aktorów, szła kulawo, bo niedość połknąć kij bilardowy, ażeby być lordem angielskim; nie dość balowej, ładnej sukni, ażeby być wykwintną lady; jednak i z takiej obsady sztuki urok geniuszu Wilde'a powiał na zgromadzonych widzów.

Słuchano monotennie wypowiedzianych lub ja-skrawo podkreślanych cudownych frazesów Wilde'a, na razie z uwagą i ciekawością, ale to chwilowe napięcie wkrótce minęło, panie rzuciły spojrzenia, panowie zwracali lornety na łożę. Dopiero wejście eleganckiego Goringa i wspaniała scena pisania listu przy końcu pierwszego aktu rozruszały zimną dotychczas publiczność.

Roman porównywał grę artystów warszawskich, obmyśloną szczegółowo i przeprowadzoną konsekwentnie w spojrzeniach, w grze twarzy, w ruchach, w brzmieniu głosu, z chropawą grą aktorów nasłuchujących suflera.

Irenę, która nie znała tej sztuki, pochłoniął urok genialnego Wilde'a, i co brakło na deskach sceny, uzupełniała w swej żywej wyobraźni. W dramacie o cześć i miłość Chilterna brała żywy bezpośredni udział, on rozgrywał się w jej umyśle i sercu, a twarz jej z dziecięcą ciekawością i napięciem śledziła każdy szczegół, oczu nie odrywała ze sceny, cała przejęta i przeświecona rozgrywającym się dramatem życia.

Kurtyna zapadła, odezwały się nieliczne oklaski. Irena z niemiłym uczuciem ocknęła się ze świata sztuki do codziennego życia i obcemi, zdziwionemi oczyma powiodła dokoła.

Ujrzała mężczyzn ubranych odświętnie, z banalnemi uśmiechami i pewnością siebie patrzących na wystrojone panny okiem znawców towaru i jego wartości, a na młode mężatki czule i pożądlwie, jak zakochane koty.

I uczuła taki niesmak do tego otoczenia po wykwintnej sztuce Wilde'a, że byłaby rada ukryć się, zniknąć. Spuściła oczy i siedziała osowiała, jak ptak świeżo osadzony w klatce.

— Irenko, widzisz ciotkę? — spytał Roman.

Niemile było jej to pytanie, ale zmusiła się do odpowiedzi:

— Gdzie? — nie podniosła oczu.

— Na prawo... w łoży przy przejściu do foteli i krzeseł.

— A tak, widzę... i jakie oczy rozweselone, szczęśliwe, — westchnęła.

— Czy zazdrościsz im łoży?

— Żart niesmaczny, — zmarszczyła swe piękne, czarne brwi.

— No, a sztuka? Prawda, jak piękna, chociaż nieszczególnie grana. Jak doskonale narysowane charaktery, jak każdy właściwym sobie językiem.

— Przestań... nie chcę krytyki, nie lubię ogólników.

— Dobrze, Irenko, — uśmiechnął się wyrozumiale, — może chcesz cukierków?

— Nie! Nie jestem panną na wydaniu.

— Ale będziesz nią, — drażnił ją, wiedząc jak nie lubi tej kwestyi.

— Romek, daj mi spokój, bo pójdę.

— No, takim barbarzyńcą nie jesteś, ażeby nie dosłuchać sztuki Wilde'a.

— Tuż przed nimi dwóch panów mniej więcej trzydziestoletnich, stojąc z lornetkami w ręku, wszczęło niemal głośną rozmowę.

— Władek, — mówił dobrze łysawy szatyn, szczupły, dość pretensjonalnie ubrany, — dyrektora wprowadza w świat młodszą córkę.

— Gdzie siedzi?

— Trzecia łoża, pierwsze piętro.

Władek, blondyn niewyraźny, z twarzą żółtawą, zniszczoną, z małym, przyciętym wąsikiem, w turkurku i białej kamizelce, niedbale przyłożył do oczu lornetkę i spojrzał na wskazaną łożę, w której siedziała szczupła, z twarzą wychudzoną, starsza niewiasta, obok, panna, brunetka, zbyt zaczerwieniona, pulchna, w żółtawej sukni, a trochę głębiej szatynka, z małemi oczkami, szczuplejsza trochę od siostry.

— Wiesz Władku, kopnij się do młodszej, dają 20 000 koron i wyprawę.

— Za mało, — opuścił szkło, — a miałbym na karku wysortowaną Lunię.

— Może i na starszą znajdzie się amator, 20.000 nie do pogardzenia, no i protekcja dyrektora.

— Co mi za protekcja, — uśmiechnął się lekceważąco, — dyrektor żydowskiej fabryki... No i tę Lunię, pokazywaną od sześciu lat, obwożoną po wszystkich zdrojowiskach, chyba jaki manipulant weźmie, a dziękuję za takiego szwagra.

— Mylisz się, Władku, w latach, — zaśmiał się szatyn, — Lunia o rok młodsza od Klimeczki, która ósmy rok wypatruje amatora, — odpowiedział spoglądając na łożę radczyni.

— To dziwne, że radca nie wytrzasnął dla niej jakiegoś auskultanta do tej pory.

— Goła, a teraz drożyzna, — zaśmiał się szatyn, — i boją się losu radcy, którego żona krótko trzyma.

— Ale patrz, patrz, łoża siódma, drugie piętro, — obaj przyłożyli lornetki, — już mecenas zabiega o tę ładną profesorową.

— Prawda, — odpowiedział blondyn, — ale ona warta grzechu... i że taka ładna wyszła za belfra. Nie wiesz, kto ona?

— Córka wdowy, gdzieś z Królestwa, podobno z Kielc...

— No, musieli mu nablagować, że ma posag, — uśmiechnął się blondyn. — Ci z Królestwa umieją blagować.

— Było też tej hołoty u nas dużo; chwala Bogu, że rząd zaprowadził tam już porządek — dodał szatyn.

— Ale objadła nas ta szarańcza, wszystko przez nich podrożało, nawet piwo.

— Władek, nie pójdziesz do nadradczyni? Mania oczy wypatruje na ciebie.

— Ani myślę. Trzebaby kupić cukrów, a wolę napić się piwa.

— Bywasz u nich często?

— Ciągną mnie, ale nie głupi jestem leżę w pułapkę. Mania ładna, ale prócz wyprawy i protekcji... nic!

Odezwał się dzwonek. Dwaj przyjaciele rozłączyli się. Roman słuchając rozmowy, porozumiewał się oczyma z Ireną i od czasu do czasu spoglądał na łożę radczyni. Dotychczas nie wszedł do łoży żaden mężczyzna, jednak niektórzy przystawali przy łoży i zamieniali z paniami kilka słów. Radczyni siedziała na prawo, Klimcia królowała w środku, a na lewo kuliła się do ściany, dosyć ładna, ale z twarzą zmęczoną przyjaciółką radczyni.

Rozpoczął się akt drugi, słuchany z większą uwagą, a gdy Chiltern wybucha wyrzutami do swej żony, rozległy się huczne brawa, ale tylko mężczyźni, widocznie zadowolonych nauką daną żonie przez męża stojącego nad przepaścią, grożącą pochłonięciem jego czi i sławy.

Nastąpiła dłuższa pauza, w czasie której Roman miał odwiedzić radczynię w łoży.

— Irenko, a ty nie pójdziesz?

— Nie, byłoby to narzuceniem się do zaprosin. Zostanę tutaj.

— Jak chcesz.

W cukierni teatralnej kupił pudełko cukierków i wszedł do łoży dziewiątej.

Panie, a zwłaszcza ciotka, przyjęły go niespodziewanie życzliwie; nie dla niego lub cukierków, ale przez próżność, że nareszcie zjawił się mężczyzna w ich łoży, co istotnie zaciekało część publiczności, zwłaszcza, że radczyni posuwaniem krzeseł i głośnie witanie zwróciła na siebie uwagę.

Po przywitaniu i przedstawieniu Romana pani Schillingowej, gdy Roman usiadł, spytała radczyni z politowaniem:

— Jakże wam w krzesłach? Jeszcze tobie, to ujdzie, ale Irenka, w takim tłumie...

— Dobrze nam... Jakże cioci podobała się sztuka?

— A... sztuka?... Powiem ci prawdę, nie lubię tych rezonowań salonowych, wolę komedye, przynajmniej można się naśmiać.

— Przecież lord Goring zabawny.

— On jeden elegancki i trochę przypomina mi Władysława. Czy tak, Klimeczko?

— Władzio jest poważniejszy i rozumniejszy, mameczko.

— Wiem o tem, ale ten lord z elegancji i z ogólnej dystynkcji przypomina mi Władzia. Czy nie tak, Milciu? — zwróciła się do przyjaciółki.

— Tak, Paulisiu, tylko pan Władysław posiada w swem zachowaniu więcej taktu towarzyskiego.

— To z wychowania domowego, — skinęła głową radczyni, — widocznie matka tego lorda musiała go zaniedbywać, cała oddana zabawom, bo są i takie kobiety, — westchnęła.

Do łoży wszedł młody brunet, z czarną przystryżoną brodą, ubrany bezpretensjonalnie, ale stannie, mówiąc dźwięcznym głosem:

— Dobry wieczór paniom!

— A! Co za niespodzianka! — zawołała rozpromieniona radczyni, — Klimeczko, pan doktor Lencki.

Klimcia przyozdobiła swą twarz w uśmiech najprzyjemniejszy i z gracyą podała rękę:

— Witam pana doktora z podróży.

Doktor przywitał się z panią Schillingową, a radczyni szybko mówiła:

— Pan doktor Zygmunt Lencki... kuzyn mego męża, pan Czajkowski, świeżo przybyły do Krakowa... Jakże powiodła się podróż pana doktora? Dawno pan doktor wrócił?

— Przed trzema dniami.

— I zastał pan doktor jakie zmiany w Krakowie? — uśmiechnęła się wdzięcznie Klimcia.

— I bardzo znaczne.

— Jakie? Jakie? — spytała z żywością radczyni, nachylając się, ażeby lepiej słyszeć.

— Gospodarz podwyższył mi komorne, a w mieszkaniu nieład i kurz.

— Dobrze tak panu doktorowi, — mówiła wesoło radczyni, — trzeba się ożenić, a zastałby pan doktor porządek.

— Rozkoszny nieład niewieści można wytrzymać, ale tylko w miodowych miesiącach, — uśmiechnął się.

I radczyni i córka wydała ciche okrzyki zgromy. Milcia, przyjaciółka radczyni, sądząc, że obecność kuzyna jest zbyt uczynna, odezwała się:

— Siostra pana szuka go oczyma, patrzy na naszą łożę.

— Kuzynka pani jest w teatrze? — spytał doktor Klimcie.

— Siedzi w krzesłach.

— Nie z paniami? — lekko się zdziwił.

Klimcia, chcąc okazać swe dobre serce, odpowiedziała:

— Właśnie chciałam prosić kuzyna, ażeby koniecznie namówił kuzynkę do łoży... Mameczko, proszę jej rezkazać, jako ciotka, — uśmiechnęła się z dowcipną miną.

— Romanie, jeśli nie chcesz mnie pogńiewać, namówisz Irenkę.

— Spróbuję ciociu, — wyszedł.

Panie doktorze, — mówiła radczyni, — widzi pan tę osobkę w siódmym, czy ósmym rzędzie, ta z ciemnemi włosami, trzyma afisz...

— Tyle jest pań z ciemnemi włosami... ale idzie pan Czajkowski, — mówił doktor, — teraz widzę...

Z łoży widać było, jak Roman namawiał Irenę, która patrząc na ciotkę zrobiła ruch przeczący głową.

— Kuzynka nie łaskawa na panią, — zaśmiał się doktor, — milszy domek własny, choć ciasny... a może ona taka skromna, — dodał rozmyślnie widząc, jak Klimcia nie lubi rywalizacji z pannami ładnymi, a za taką uważał Irenę, — lub obawia się